

MARGINES

KWIECIEŃ 2017

SZKOŁA



UCZNIOWIE



PRASA

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY
NAKŁAD WŁASNY



W numerze

- 2 Okiem redaktora
- 2 Łączność
- 3 ZSŁ News
- 3 Czy on już nie wróci?
- 4 Programowanie – zarobek czy pasja?
- 5 „Zwiadowcy”
- 7 Niebezpieczne połączenie,
gimnastyczna mieszaneczka
wybuchowa
- 7 Życie ucznia z perspektywy
pierwszej ławki
- 8 Naturalna, przyjemna i efektywna nauka
języków obcych - cz.1
- 9 Logan
- 9 13 powodów
- 10 Jak namalować emocje?
- 10 Ghost in the Shell (2017)

wigilijny symbol	np. sądowy	ograniczenie, granica	góry pokład statku	nauka mistyczna	kolega Tomka Sawyera	miasto w Lombardii	przeciwnik alpinisty
...	Broz Tito	uszkodzenie ostrza	cela karna w więzieniu	mały wandal	wśród owoców morza	rodzaj okrętu wojennego	ma ma-cochę
Lang, kolarz				wielki kamasz	więzień nadzorca		
jasny, żółtawy kolor					sułtanat na Płw. Arabskim		
może komuś odbić					litera grecka	perelki z mgiełki	
jedyny prezydent ZSRR	łączy Opole i Szczecin	zespół z Beatą Kozidrak	Paul, kanadyjski wokalista				
						Costa, piłkarz	Zedong
pielęgniownia					pustelnia		
					kolejka bez torów		
szybkie, głośne mówienie		duże jezioro w Wenezueli					

zadanie udostępnił serwis krzyżówkowy szarada.net

Okiem redaktora Krzysztof Głowacki

W kwietniowym wydaniu naszej wyjątkowej szkolnej gazetki będziemy mogli przeczytać kilka wierszy Patryka, robią naprawdę dobre wrażenie!

Dość ciekawym i pełnym konkretnych jest przeprowadzony przez Michała Grabowskiego wywiad z programistą, prelektorem i pasjonatem branży IT.

Piotrek podzielił się z nami swoimi wrażeniami o serialu pt. „13 powodów”, opowiada on o problemach młodej dziewczyny, po więcej szczegółów zapraszam do jego artykułu.

Możemy także przeczytać o perspektywie życia w pierwszej ławce - wielu z nas, nie miało okazji nigdy doświadczyć takich wrażeń, ale może je poznać w inny sposób.

W numerze znajduje się sporo recenzji, może któraś nas zachęci i wybierzemy się na jakiś film do kina? Gorąco zachęcam do czytania i wspomnę także, że parę dni temu wyszła najnowsza część „Szybkich i Wściekłych” – obowiązkowy film dla fanów szybkich samochodów. :)

Piotrek podjął temat dzisiejszych i dawnych producentów gier komputerowych, myślę, że warto zajrzeć do jego tekstu, ponieważ pisze sporo prawdy.

„Lemur” - autor komicznego, ale zarazem bardzo prawdziwego i trafiającego w sedno dzisiejszego obrazu młodzieży i nie tylko, w zabawny i ironiczny sposób ukazuje prawdziwe oblicze naszego społeczeństwa, które - jak on to nazwał - tworzy sztukę ekwilibrystyczną. Paweł otworzy przed nami całkiem nowe spojrzenie na naukę języków obcych. Może ktoś z nas, skorzysta i łatwiej odnajdzie się w tej części przyswajania wiedzy.

	2							
9	5						3	
3		1			2	4	7	9
	4			8		3		
	1			7			2	
8		2					5	7
						9	8	3
		9	8	1		2		

Łączność Patryk Frasik

Szkoła jedyna wśród jedynaków,

Znak najważniejszy wśród wszystkich znaków,
„Łączność to przyszłość”, wie każdy z tramwaju,
Co patrzeć za okno ma w swym obyczaju,
Są cztery lata, chyba, żem w błędzie,
Plus minus tyle niechaj więc będzie,
Czas to owocny w liczenie swej średniej,
Lecz w mózgu przynajmniej nie ma się biedniej,
Coś tam z warsztatów wynieść tu można,
I nie jest to krzesło, nie kaczka też z różną,
Liczby, litery też tu poznajesz,
Człowiekiem wszechstronnym raczej się stajesz,
Każdy miał prawo porzucić nadzieję,
Lecz gdy wytrzymał, to teraz się śmieje.

CIĄG DALSZY NA S. 6

Gazeta Szkolna ZSŁ

Redakcja w składzie:

Michał Grabowski (red. naczelny), Konrad Makuch (skład),
Karolina Potoczak, Piotr Bartyzel, Krzysztof Głowacki, Piotr Mazurek,
Paweł Hadrian, Jan Kuśmierczyk, Maciej Łapczyński,
Aleksandra Świerczek

Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz

e-mail: margines@tl.krakow.pl

www: margines.tl.krakow.pl

MARGINES

ZSŁ News

Krzysztof Głowacki

To już kwiecień, za chwilę maj, niecały miesiąc chodzenia do szkoły i upragniony czerwiec... piękna wizja. A co słysząc w naszej szkole?

Ogłoszono wyniki 19 Olimpiady Wiedzy Elektrycznej i Elektronicznej EUROELEKTRA. Nasi uczniowie oczywiście uczestniczyli w konkursie i w grupie elektronicznej Szymon Ogórek z klasy 3Ed zajął 8 miejsce, a Kamil Jeziorek z klasy 3Ed - 12 miejsce. W grupie teleinformatycznej Piotr Śladowski z 3 Ti zajął 12 miejsce. Gratulujemy!

Dnia 1 kwietnia w Powiatowym Zespole Szkół w Bieruniu odbyła się gala wręczenia nagród za XL edycję Olimpiady Wiedzy Elektrycznej i Elektronicznej, laureaci i finaliści otrzymali promesy wstępu poza rekrutacją na wszystkie kierunki na AGH. Nasza szkoła otrzymała ich aż 6, (4 Laureatów i 2 Finalistów). Lista osób będących chlubą naszej szkoły, dostępna jest na stronie internetowej szkoły. Gratulujemy!

W czerwcu w naszej szkole będzie odbywać się konkurs recytatorski, zgłoszenia przyjmowane są do 19 maja u Pań Agnieszki Kozłowskiej i Sylwii Kani lub do biblioteki szkolnej do p. Marty Stefańczyk, podobno na zwycięzców czekają ciekawe nagrody!

W Olimpiadzie o Diamentowy Indeks AGH laureatami zostało czterech uczniów z naszej szkoły, a są nimi tegoroczni maturzyści: Patryk Chełmecki (laureat I stopnia) oraz laureaci III stopnia: Maciej Janikowski, Kasper Sapała i Karolina Pieszczyk. Serdecznie gratulujemy i życzymy powodzenia na wymarzonych studiach! Nasi reprezentanci z internatu w grze w szachy wzięli udział w Mistrzostwach Internatów Krakowa, Dawid Duda zajął 2 miejsce, a Kornel Ciosek uplasował się jedną lokatą za nim. Gratulujemy i życzymy dalszych zwycięstw!

Niedługo maturzyści zaczynają walki z arkuszami - trzymamy kciuki i życzymy jak najlepszych wyników, a sobie, uczniom pozostającym w ZSŁ, życzymy wytrwałości i satysfakcjonujących nas ocen! Do końca roku pozostało już niewiele czasu. :)



fot. pzbierun.pl

Czy on już nie wróci?

Piotr Bartyzel

Ten czas już minął. W pogoni za nowinkami technicznymi, fotorealizmem oraz lepszą fizyką obiektów w grach komputerowych coś chyba gubimy.



fot. gamingenthusiast.net

Każdy producent i wydawca chce, aby jego produkt sprzedął się jak najlepiej, czyli w konsekwencji trafił do najszerzego grona odbiorców. Każdy człowiek ma jednak indywidualne upodobania, więc tu rodzi się pojęcie uniwersalizmu. Jednak ogólność zaprzecza oryginalności, co w konsekwencji sprawia, że dany produkt przestaje być atrakcyjny zarówno dla jednego jak i drugiego odbiorcy. Niewielu pamięta pewnie grę „Planescape: Torment” wydaną w 1999r. Produkcja opowiadała o losach postaci, która w chwili śmierci budzi się w kostnicy oraz traci pamięć. Protagonista jest nieśmiertelny. Akcja gry osadzona jest w fikcyjnym świecie zwanym „Wieloświat”, składającym się z wielu wymiarów, ale także z wielu, naprawdę wielu linii tekstu. „Torment” jest grą, w której świat przedstawiony jest jedynie pretekstem do poruszenia wielu egzystencjalnych problemów, dotyczących życia. Podczas rozmów z pozostałymi bohaterami tej opowieści otrzymujemy przeróżne wskazówki na temat naszej tożsamości, przeszłości, ale także spraw bardziej ogólnych dotyczących natury człowieka czy sensu życia. Takie gry już nie powstają; oczywiście można powiedzieć, że niedawno ukazała się gra „Torment: Tides of Numenera” będąca nieoficjalną kontynuacją pierwowzoru. Ponownie dostaliśmy mnóstwo tekstu, może nawet więcej. Ale niestety otrzymaliśmy kolejną opowieść fantasy, nic nowego, oryginalnego. Ale nawet „T:ToN” jest wyjątkiem od reguły, bowiem gra wychodzi naprzeciw codziennym „odmóżdżaczom”.

Niestety my jako gracze wcale nie zachęcamy producentów do powrotu na stare tory. Przykładem jest nadchodząca gra „Elex”, twórców legendarnego „Gothic’a” gry z 2001. Gra o niskim budżecie, tworzona przez 30 osobową grupę, na autorskim silniku graficznym. Produkt ten zbiera bardzo krytyczne opinie m.in. za słabe animacje oraz gorszą grafikę w porównaniu z konkurencyjnymi tytułami. Tu rodzi się pytanie: co decyduje o jakości grafiki? To chyba, jak bardzo realistyczna jest, czy bardziej powinniśmy oceniać oprawę artystyczną, tzn. oryginalny pomysł zaprojektowanych lokacji, czy np. oryginalną grę światłocieni. A niewątpliwie, przynajmniej w mojej opinii, „Elex” posiada genialny koncept na świat, a jak będzie naprawdę, dowiemy się, kiedy gra ujrzy światło dzienne.

Czy faktycznie jesteśmy skazani na zdominowanie rynku gier pseudo-fabularnymi programami, gdzie opowieść jest tylko pretekstem, aby zabijać hordy orków czy zombi. Myślę, że jeszcze nie. Właśnie dzięki małym niezależnym studiom komputerowym, pasjonatom, fanom starych dobrych produkcji. Ale pomysły się kończą, a technika oraz wrażliwość współczesnego człowieka rozwija się wykładniczo. Nie zapominajmy o najważniejszym aspekcie każdej gry: o KLIMACIE.

Programowanie – zarobek czy pasja?

Wywiad przeprowadził Michał Grabowski

Wywiad z Maciejem Aniserowiczem – programistą, założycielem blogu *devstyle.pl*, trenerem, prelegentem, jednym z liderów białostockiej grupy .NET

devstyle.pl

Blog dla każdego programisty

Michał Grabowski: W ostatnim czasie był Pan obecny na 13. Studenckim Festiwalu Informatycznym. Niewątpliwie Pański wykład był dla mnie jednym z ciekawszych. Jakie są Pańskie wrażenia odnośnie reakcji publiczności i festiwalu? Czy spełnił się Pan jako prelegent w Krakowie?

Maciej Aniserowicz: Dziękuję za miłe słowo, cieszę się, że się podobało. Byłem pod wielkim wrażeniem rozmachu i długiej tradycji tego wydarzenia. Pełna profeska i ogromna skala. Panująca na sali atmosfera spowodowała, że tę wizytę będę wspominał jako jedno z moich ulubionych wystąpień. Jednym słowem: super. Wielkie wrażenie zrobiły też na mnie krakowskie korki, ale one mnie zadziwiają podczas każdej wizyty w tym mieście. :)

MG: Jak zaczynał Pan swoją pracę w branży informatycznej? Jakie języki poszły na pierwszy ogień?

MA: Jestem dowodem na to, że można zacząć stosunkowo późno. Programowaniem zacząłem się na poważnie interesować dopiero na II roku studiów. Wcześniej głównie imprezowałem. Wciągnęło mnie kółko naukowe zorganizowane wokół rodzącej się wówczas technologii .NET. I tak już zostało, dotnetowcem jestem do dziś.

MG: W jaki sposób wpadł Pan na pomysł założenia bloga programistycznego?

MA: Początkowo blog miał być sposobem na udowodnienie samemu sobie, że jestem coś wart. Może to niezdrowe, ale – jak wiele osób w branży – latami zmagalem się z różnymi kompleksami. Przez lata blog przerodził się w coś o wiele większego niż zwykły notatnik online. Zgromadzona wokół niego wspaniała społeczność pomaga

mi spełniać moje marzenia, za co staram się odwdzięczać ciekawymi treściami podawanymi w różnych formatach.

MG: Czy z początku wszystko się udawało?

MA: Zależy jak zdefiniujemy „wszystko”. To zależy od oczekiwań. Ja nie miałem prawie żadnych, więc jakiegokolwiek sukcesy były miłą niespodzianką. Startowałem 10 lat temu, gdy nie było jeszcze Facebooka, Twittera. Z jednej strony: nie było tak łatwo dać się odnaleźć czytelnikom. Z drugiej: blogów było o wiele mniej, więc jak już się kogoś „chwyciło” w wirtualne sidła, to łatwiej było go przy sobie utrzymać.

MG: Z czego jest Pan najbardziej dumny, a co sprawiło Panu największy zawód w swojej branży?

MA: Najwięcej dumy daje mi mój kurs „Daj Się Poznać”. W sumie już ponad tysiąc osób wzięło w nim udział. Ta inicjatywa przerosła moje oczekiwania, przerosła mnie samego. Ona faktycznie zmienia ludzkie życia. I to jest piękne. A największy zawód...? Chyba to, że znaczna część polskiego środowiska IT nie docenia wyjątkowej sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Wykorzystujemy to w niecny sposób, wylewa się z nas buta i arogancja. Te dobre czasy przemijają, a niesmak – pozostanie. Swoimi działaniami staram się choć trochę zmienić negatywny obraz „arystokracji IT”, jak nas widzi reszta społeczeństwa. Cieszy mnie, że to działa i nie jestem w swojej misji osamotniony.

MG: Co zaleciłby Pan początkującym programistom? W jakim kierunku rozwijać się, z jakich stron internetowych najlepiej się uczyć, aby osiągnąć sukces?

MA: Proste: programować. Działać. Zdobywać doświadczenie poprzez popełnianie błędów. Robić własne projekty. Robić je źle i uczyć się na swoich pomyłkach. Nie bać się porażek.

MG: A jaki powinien być stopień wiedzy adepta do pracy jako junior developer?

MA: Nie da się jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, bo to zależy od konkretnej firmy. Starałem się swoją opinię przekazać w jednym z odcinków vloga, więc po prostu tam odeślę:



<https://www.youtube.com/watch?v=TyBgeCniCF8>

MG: Jaką strategię poleca Pan zastosować młodym programistom szukającym pracy? Czy są jakieś skuteczne metody, aby nie zniechęcać się?

MA: Próbować, próbować, wysyłać, chodzić, dzwonić, aplikować. I uświadomić sobie, że znalezienie pierwszej pracy – wbrew obiegowej opinii – wcale nie musi być proste. Będą odmowy, zignorowane maile, odrzucenia. Wtedy trzeba – cały czas się kształcąc – próbować dalej. Do skutku.

MG: Pana zdaniem na rynku pracy liczą się przede wszystkim umiejętności czy szczęście?

MA: Jedno i drugie. Łatwo jest wylądować w toksycznym środowisku, beznadziejnie nudnym projekcie, nieprzyjemnej firmie. Im większe umiejętności, tym mniej szczęścia potrzeba, by znaleźć się w odpowiedniej pracy.

MG: Czy dobrym pomysłem dla młodych programistów jest zaczynać jako freelancer?

MA: Nie, freelancer uczy się tylko na własnych błędach. Pracując w zespole – uczymy się także na błędach innych osób. Czasami jednak „freelancerka” jest jedynym wyjściem i na pewno lepiej robić to, niż nic. Ale na początek zdecydowanie polecam pracę w biurze, w doświadczonym zespole, przy komercyjnym projekcie.

MG: Jaką wróży Pan przyszłość branży IT? Chodzi konkretnie o pracę programistów – jak to będzie według Pana wyglądać

w przyszłości?

MA: Ciężko jest wróżyć z fusów, ale moim zdaniem zadania wykonywane aktualnie przez „juniorów” będą w coraz większej mierze automatyzowane. Projektowanie i wymyślanie rozwiązań to skomplikowany proces, ale implementacja na podstawowym poziomie i „bugfixing”... to nie rocket science. Według mnie to będzie w jakimś zakresie robić się „samo”. Co już można zaobserwować: coraz więcej rozwiązań można zrealizować bez potrzeby zatrudniania programisty, łącząc ze sobą odpowiednie klocki.

MG: Czy jeśli miałby Pan możliwość zmiany swojego zawodu, wybrałby Pan inny na resztę życia?

MA: Poniekąd to zrobiłem, rzucając etatową pracę programisty półtora roku temu. Teraz określam się jako „blogger, vloger, bezrobotny”. ;) Ale tak na serio: nie, nie wyobrażam sobie pracy w branży innej niż IT. Nic innego mnie nie kręci. No, może kariera gwiazdy rocka. Ale na to już dla mnie za późno.

MG: Czy są jakieś rzeczy, których nie podjąłby się Pan nigdy w życiu?

MA: Tak, ale niejednokrotnie zarzekałem się, że czegoś „na pewno nigdy nie zrobię”. A po kilku latach: robiłem to. Więc jednak nie.

MG: Czym się Pan zajmuje poza pracą?

MA: Latami poszukuję hobby i nie mogę go znaleźć. Po prostu mam już pasję i ją realizuję non stop.

Po pracy staram się być dobrym ojcem. Czasem relaksacyjnie pojeżdżę na motocyklu, czasem obejrzę film, poczytam książkę... Standard. Ale przez większość życia jestem w swoim świecie, budowanym od -nastu lat.

MG: Jaką uniwersalną wiedzę mógłby Pan przekazać nam, uczniom technikum informatycznego w kilku zdaniach? Niech będzie to coś, co Pana najbardziej motywowało przez wszystkie lata nauki, pracy i poszukiwania rozwiązań.

MA: Nie będzie to kilka zdań, a dwa cytaty. Pierwszy to Timothy Leary: „Think for yourself, question authority”. Wyrulem go sobie nawet na tablicach rejestracyjnych. Drugi to Julia Marcell: „Passion is something that likes to be conquered”. On pchnął mnie do rzucenia etatu i zostania freelancerem wiele lat temu i... towarzyszy do dziś, podczas podejmowania ryzykownych działań, akceptując ewentualne konsekwencje.

MG: Dziękuję Panu serdecznie za poświęcony czas!

MA: Dziękuję również.

„Zwiadowcy” Maciej Łapczyński

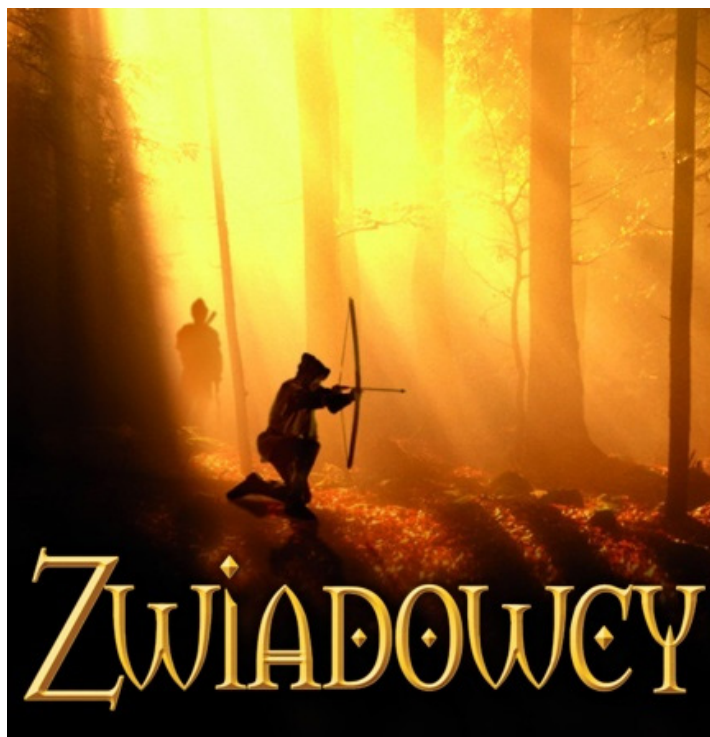
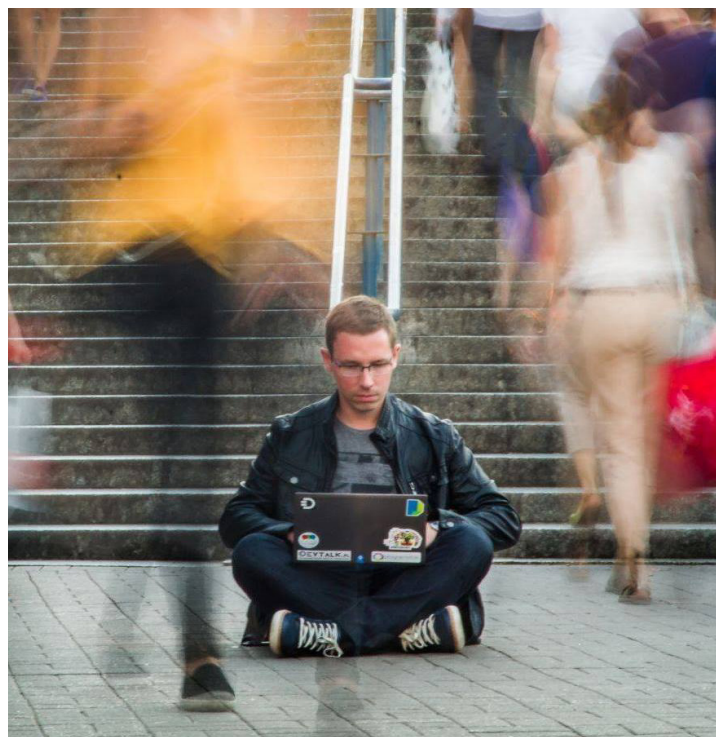
Zajmująca porcja low fantasy dla każdego.

„Zwiadowcy” to seria powieści fantasy autorstwa australijskiego pisarza Johna Flanagana. Dzięki intrygującej i oryginalnej historii, jaką opowiada, stała się światowym bestsellerem, co nie jest łatwe w dzisiejszych czasach. Pierwszy tom z serii ukazał się w listopadzie 2004 roku w Australii, a w Polsce w marcu 2007 roku i nosił tytuł „Ruiny Gorlanu”. Dotychczas autor napisał czternaście książek, z czego dwie są prequelem do wydarzeń, które opowiadają.

Akcja toczy się w królestwie Araluenu, w fikcyjnym, stylizowanym na średniowiecze świecie. Na pierwszy plan wysuwa się historia Willa, piętnastoletniego chłopca z sierocińca, którego życiowym marzeniem było zasilenie szeregów królewskiej armii. Niski wzrost oraz marna postura niestety rujnują jego plany, ale to wcale nie musi oznaczać końca marzeń, a to za sprawą zwiadowcy, któremu na imię Halt, i który przyjął go na swojego ucznia. Dalsze losy głównego bohatera oraz jego przyjaciół skupiają się wokół ich przygód w różnych cechach, do których zostali przydzieleni. Zmagają się oni z różnymi przeciwnościami i problemami królestwa, któremu służą pośród niebezpieczeństw.

John Flanagan stworzył niezwykle wciągającą opowieść, która podbiła serca czytelników na całym świecie. Autor już od pierwszych stron czaruje czytelnika lekkim piórem oraz wartką akcją, przez co powieść przykuwa wzrok na wiele godzin. Największym atutem tej lektury jest intryga oraz klimat baśniowego świata. Oczywiście nie jest to świat idealny. Niezbyt dużo trzeba się tu prosić o guza czy też natrafić na przenikliwy wzrok siejących zgrozę bestii zwanych wargalami, o czym przekonacie się sami, wertując kolejne strony „Zwiadowców”. Dodatkową atrakcją są barwne, plastyczne opisy będące urozmaicheniem akcji, co zarazem pozwala czytelnikowi popuścić wodze fantazji i lepiej wczuć się w klimat książki.

Polecam serię „Zwiadowców” każdemu szukającemu odprężającej rozrywki w wiosenne, ciepłe dni i zapewniam, że z każdą stroną będziecie chcieć więcej.



Patryk Frasik, Łączność - cd.

„Równowaga”

Procent płci pięknej jest raczej nieduży,
Tu równowaga w przyrodzie się burzy,
Wniosek jest z tego prosty jak palec,
Nie zrodzi się raczej żaden tu malec.

„Buty”

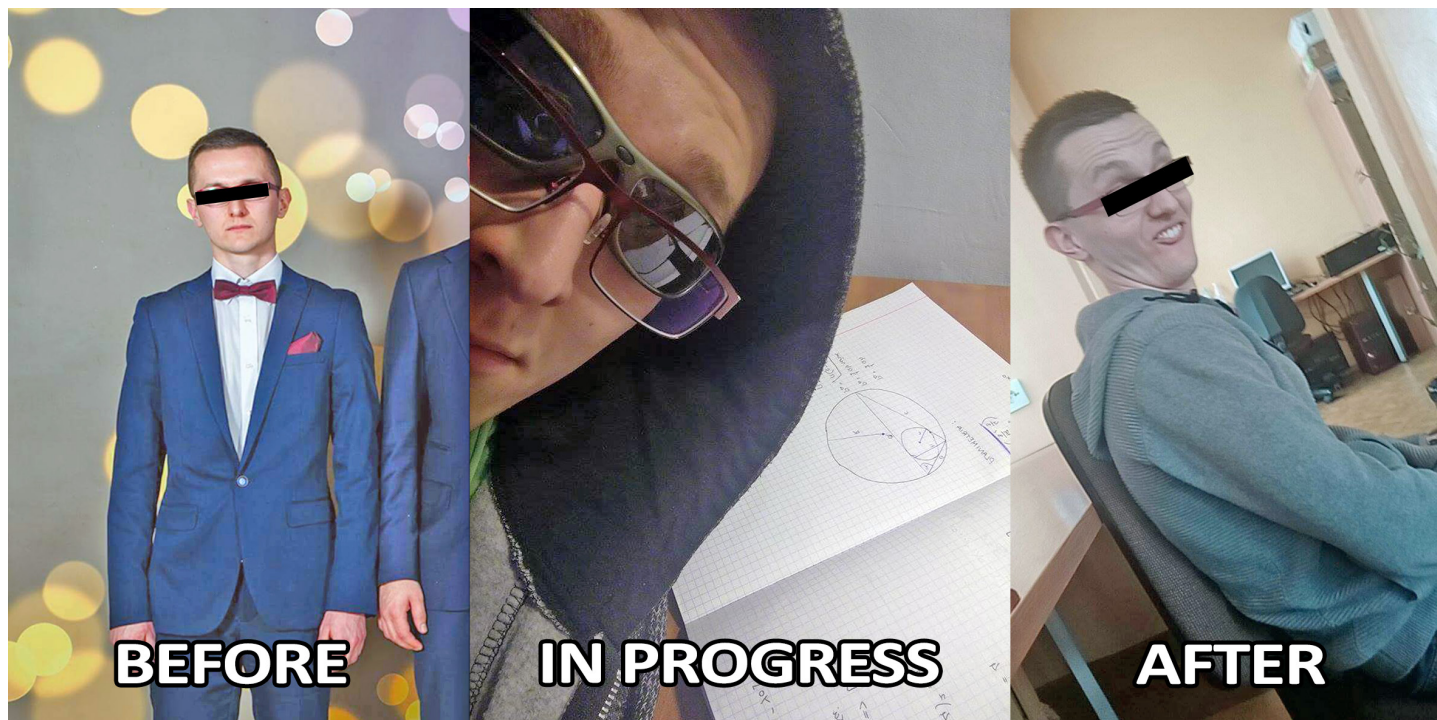
Okres to w roku bardzo niesławny,
Gdy buty obszerne, podeszwa nieczysta,
Zwyczaj jest taki niezwykle już dawny,
Restrykcja wszechznana, restrykcja wieczysta,
By zmienić obuwie na to nieskażone,
Na to mistyczne, co nie zna go wielu,
Zmiana ta – dobro wręcz nieskończone,
A świat jest bez dobra jak piwo bez chmielu.

„Straż”

Czy to jest Batman, czy może Punisher?
Może to Kmicic, a może Sam Fisher?
A może to czarny charakter z wyboru,
Mieszanka płomienia z butelką wodoru?
Nie. To jest strażnik, co bram niebios strzeże,
Wejść złym wejściem, w kałuży krwi leżę,
Lepiej uważać w pobliżu na słowa,
Taki to strażnik, że mała głowa.

„Elita”

Wybrańcy Boga i archaniołów,
Nie mają swych kaplic ani kościołów,
Wyznawcy ich jednak wszędzie są w szkole,
Jak siano jest wszędzie leżące w stodole.
Jest patrol z rowerem, co tropi dymiących,
Demonów nie boi się w duszach drzemiących.
Jest taki jeden, co liczby tresuje,
I zawsze, co pragnie, z liczb wylosuje.
O, trener kosza, Gortat szanuje,
Stepy wzdłuż sali wciąż wykonuje.
To pani generał, bacność przed lekcją,
Gdy będzie inaczej, to skończy się sekcją.
Jest zapaleniec, co przodków zna swoich,
W kodzie wspaniały jak Hektor spod Troi.
To król warsztatów, nazwisko skrócimy,
I przez nazwisko o nim mówimy.
Jest pani taka, jej sala jest mała,
Znów dzisiaj klasa z jej żartów się śmiała.
Skoro o żartach, to jest mistrz sucharów,
Powinien dostać z dwadzieścia Oscarów.
Pan ten wysoki, w przeszłości wciąż pływa,
Pęd do historii do lotu się zrywa.
Jest blond fryzura, leci już strzała,
Siadajże, chłopie, wiedza twa mała.
Tutaj z kolei widzimy sandały,
Z zagrożeniami znów jest dział cały.
I tak oto można wymieniać bez końca,
Od wstania rano do zachodu słońca,
To jest elita, jedynie w tej szkole,
Každy odgrywa znaczącą tu rolę,
A młodzi ludzie w pokorze słuchają,
Ich wyznawcami tak oto się stają.



OTO CO NASZA SZKOŁA ZROBIŁA Z AUTOREM PRZEZ 4 LATA.*

**PAMIĘTAJ: ŁĄCZNOŚĆ TO PRZYSZŁOŚĆ
- CZY TEGO CHCESZ CZY NIE!**

*Informujemy, że grafika ma charakter satyryczny i żaden informatyk nie ucierpiał podczas pisanie tekstu

Niebezpieczne połączenie, gimnastyczna mieszanka wybuchowa

Lemur

Niecodzienne spojrzenie na codzienną rzeczywistość

Cyrk jest kojarzony z Cyganami, klaunami i niewolą zwierząt. Jednak w tak obarczonej stereotypami instytucji istnieje pewne przedstawienie, które jest przeze mnie podziwiane. Mianowicie ekwilibrystyka, czyli próba niezrobienia z siebie pośmiewiska (coś niespotykanego w cyrku) spowodowanego straceniem równowagi i runięciem na ziemię jak balkon nad wejściem do jednej z krakowskich szkół. Oczywiście przy jednoczesnym wykonywaniu akrobacji i żonglowaniu wszelakimi przedmiotami. Gdy wracałem z jednego z występów, olśniło mnie jak Sherlocka. Szkoła, w której zawałił się balkon, jest szkołą o kierunku telekomunikacyjnym. Uświadomiłem sobie, że każdy z nas uprawia spektakl ekwilibrystyczny, lecz w bardziej niebezpiecznym wydaniu, mianowicie tymże telekomunikacyjnym. Jest to dyscyplina sportowa, która powinna być na olimpiadzie. Może jako jedyny odłam sportu byłby wolny od dopingu.



Ten nowy rodzaj gimnastyki uprawia większość społeczeństwa posiadającego telefony, tablety lub inne chińskie wynalazki, które, znając życie, pojawią się w Polsce dopiero za parę lat. Najwięcej sportowców jest wśród ludzi młodych, najczęściej kobiet i kierowców. Młodzi ludzie są bardzo dobrze wytrenowani i przygotowani do najtrudniejszych warunków. Wiele razy, widząc zdarzenie, które muszą uwiecznić w swoim smartfonie w celu dowartościowania się na portalach społecznościowych, balansują na granicy kałuży i błota w białych butach (oczywiście skarpetki do kostek obowiązkowe), by zrobić zdjęcie swojego odbicia. Odpowiedni balans jest wymagany także u kobiet, obładowanych jak plandeka na żuk, zakupami trzymających w jednej ręce kawę ze Starbucksa, a w drugiej torebkę. Gdy nagle rozlega się strzał pistoletu sygnalizujący start dyscypliny (powiadomienie w telefonie), błyskawicznie kobieta w wysokich szpilkach potrafi, przybierając pozę flaminga, dobyć telefon i odczytać powiadomienie. Inni zawodnicy bardziej tajemniczy i szybcy jak ninja uczą się od najmłodszych lat w szkołach, prądawnej sztuki ściągania. Przybierając przeróżne pozy i nie zwracając uwagi nauczyciela (tajników tych nie mogą zdradzić), jednocześnie żonglują swoim orężem, balansując między nabawieniem się zęza stałego, a przyłapaniem przez sędziego. Łatwego życia nie mają także kierowcy. Jeden nawet popełnił ostatnio błąd, stracił równowagę podczas spektaklu, skutkiem czego był sprawcą kolizji rządowego pojazdu opancerzonego. Lecz fakty w tej sprawie są niejasne. Podczas mniej skrajnych przypadków kierowca stara się ustawić nawigację w telefonie, omijając wcześniej wspomnianą

panią „flaming”, próbującą przy tym nie rozlać swojej kawy. Istnieją też grupowe dyscypliny ekwilibrystyki telekomunikacyjnej. Miejsce, w których odbywają się rozgrywki grupowe, jest komunikacja miejska. Pojazdy te są idealnie przystosowane: gwałtownie przyspieszają, hamują, bujają się na boki i robią wszystko, by zawodnik stracił równowagę. Najodważniejsi nie zwracają uwagi na niebezpieczeństwa i są zaślepieni ekranem swojego urządzenia, balansując na górnym uchwycie pojazdu. Jest wiele odmian ekwilibrystyki telekomunikacyjnej, można rzec, że jest tyle rodzajów tego sportu, co jego zawodników. Istnieją różne poziomy trudności zależne od sytuacji i ilości posiadanych przy sobie przedmiotów. Jest to na pewno niebezpieczny sport, nierzadko bardzo kosztowny. Jednym słowem jest to istny cyrk.

Boję się pomyśleć, jak wygląda rozwój tej dyscypliny w Chinach...

Życie ucznia z perspektywy pierwszej ławki

Jan Anonim

Czyli jak wygląda lekcja dwa metry od tablicy

Wbrew pozorom wybór ławki, w której siedzimy, ma duże znaczenie. Większość osób preferuje miejsca oddalone od stanowiska nauczyciela, dają one (złudne) poczucie bezpieczeństwa, ale także pozwalają

na nadrobienie tych pięciu niedospanych minut. Ocenę tego typu zachowania zostawmy jednak na inny dzień, a dzisiaj odpowiemy na pytanie: „Jak się żyje w pierwszej ławce”, opierając się na doświadczeniach autora.

A żyje się całkiem zwyczajnie, mimo że od mrozącego krew w żyłach wzroku nauczyciela nic cię nie dzieli. Wbrew powszechnej opinii nie ma to wpływu na to, jak często jesteś wywoływany do tablicy. Co więcej, miejsce w pierwszej ławce niesie ze sobą różnorakie korzyści, jak chociażby dobrze widoczna tablica czy dobrze słyszalny głos nauczyciela. Powszechnie wiadomo jednak, że nie ma róży bez kolców i tak jak wyżej wspomniana róża, pierwszy rząd ma pewne minusy. Kiedy dyżurni będą nieobecni, to najpewniej ty będziesz musiał mazać tablicę, ponadto czeka cię również roznoszenie prac pisemnych. Są to jednak mało znaczące wady i nie powinny one być szczególnym problemem.

Jak widać, pierwsza ławka nie jest taka straszna, jak się wydaje, a potencjalne zalety, jakie mogą zostać wykorzystane w celu zdobywania wiedzy, z nawiązką rekompensują ewentualne wady.



Paweł Fornalik

Na początku powiem, dlaczego szkolne sposoby nauki języków nie są najskuteczniejsze. Przede wszystkim nasz ludzki mózg inaczej przyswaja tego typu wiedzę. Jak powinniśmy się uczyć? Odpowiedź jest bardzo prosta: Jak dzieci! Kto z nas nie chciałby tak „nawijać”, jak najmłodszy mieszkańcy krajów, gdzie oficjalnym językiem jest angielski? Zaczynają oni naukę od słuchania. Przez lata słuchają swoich rodziców, często nic nie rozumiejąc. Ale z kontekstu sytuacji zaczynają przyswajać nazewnictwo otaczającego ich świata. Na przykład, gdy tata pokazuje obrazek lwa i mówi wyraźnie: „lew”. Następnie używają poznane słowa, często niewłaściwie, stosując niepoprawne konstrukcje gramatyczne, by wyrazić swoje myśli. No właśnie, wielu z nas nie chce mówić w języku obcym z obawy przed pomysłkami. Przecież wcześniej wspomniany

Powróćmy do naszego przykładu z dziećmi. Kiedy już są dobrymi słuchaczami oraz potrafią ubrać w słowa swoje myśli, uczą się czytać, a następnie pisać. Zastanówmy się teraz, jak to wygląda w typowej szkole. Gdyby chwilę pomyśleć, okazuje się, że wszystko jest na odwrót! Największą wagę przywiązujemy do czytania i pisania. Owszem, jest trochę słuchania, ale zdecydowanie za mało i to jeszcze jakże nudnego. A nie zapominajmy, że to jest podstawa świetnego posługiwania się potężnym narzędziem, jakim jest język! Przykład dzieci nam to pokazał!

Tutaj wyłania się bardzo ważna zasada naturalnej metody nauki języka, a mianowicie: ucz się za pomocą uszu, nie oczu! I nie jest ważne to, czy jesteś wzrokowcem, słuchowcem, czy najlepiej uczysz się przez dotyk. Słuchanie jest jednym z najważniejszych elementów w codziennej konwersacji, a języków obcych uczymy się po to, żeby się porozumieć z innymi, prawda? Przecież w trakcie rozmowy nie pojawią się koło nas napisy dotyczące tego, co mówi druga osoba. Jak już wspomniałem, to właśnie słuchanie jest fundamentem! Dzięki niemu naturalnie poznajemy z kontekstu

	3				5			4
	8	1		9		5		6
4							1	7
					8	1		
				6	1	7		8
							4	
8	6			3			5	
				4				
					6		3	1

nowe słowa, które następnie słyszymy wiele razy, przez to utrwalamy dany wyraz. W ten sposób poprawiamy również naszą gramatykę. A to najlepsze wyjście, ponieważ dany ciąg słów w odpowiedniej formie możemy zobaczyć w akcji. Natomiast w szkolnym podręczniku wypisane są reguły gramatyczne, które szybko zapomnimy albo nie będziemy wiedzieli, w jakiej sytuacji je zastosować. Za pomocą słuchania dowiadujemy się też, jak wymawiać dane słowo. Jest to szczególnie przydatne w języku angielskim, w którym pisownia ma się nijak do wymowy. Możecie pomyśleć, że odradzam wam czytanie w języku obcym. W żadnym wypadku! Po prostu chcę pokazać, że słuchanie jest podstawą!

Jeden artykuł na opisanie procesu nauki tym sposobem to zdecydowanie za mało. Dlatego na tym na razie poprzestanę. W tej części chciałem przybliżyć wam naturalną oraz bardzo potężną metodę nauki języków obcych. Następnym razem przejdziemy zaś do bardziej konkretnych zagadnień. Odpowiem między innymi na następujące pytanie: czego słuchać oraz co czytać, aby jak najskuteczniej rozwijać swoje kompetencje językowe?



Logan

Michał Ciborowski

Wolverine powraca po raz ostatni, w najbardziej dojrzałym filmie superbohaterskim. I najbardziej brutalnym.

„Logan” jest kolejnym dowodem na to, że filmy komiksowe mogą iść praktycznie w każdym kierunku. A znanych bohaterów da się reinterpretować na zupełnie nowe sposoby. Tym razem w kinie nie spotkamy się z grupą potężnych herosów w kolorowych kostiumach, lecz z zaledwie kilkoma starymi mutantami. A ci są styranymi, chorzy lub po prostu zmęczonymi życiem. „Logan”, niczym antywestern, rozkłada bohaterów na czynniki pierwsze.

Minęło wiele lat, a sława Wolverine’a czy Profesora X pozostała zaledwie legendą. Pierwszy z nich powoli traci swoje moce regeneracyjne, przez co odczuwa ciągły ból. Mimo tego stara się opiekować cierpiącym na Alzheimera Xavierem, którego telepatyczna potęga wymyka się spod kontroli. Porównując ten obraz z postaciami, które poznaliśmy już 17 lat temu, można szczerze przejąć się ich losem. Jednak wkrótce pojawia się nowa mutantka, dziewczynka o imieniu Laura, która przywraca Xavierowi nadzieję na lepsze jutro.

I tak zaczyna się film drogi o podróży trzech mutantów do bezpiecznego miejsca, które może okazać się jedynie mitem. I w kwestii wywoływanych emocji jest to niesamowicie dobry film. Oczywiście jest tu dużo bólu i łez, ale również nadziei i satysfakcji. Tonalnie „Loganowi” udaje się zachować odpowiedni balans. Jest to dramat, lecz nie przytłacza widza ciągłą depresją. Zostawia miejsce na uśmiech.

Choć trzeba przyznać, że teżka się w oku kręci, gdy uświadomimy sobie, że to ostatni występ Hugh Jackmana i Patricka Stewarta w ich rolach. I obaj dają z siebie wszystko, a ze sceny schodzą w świetnym stylu. Jednak absolutną rewelacją jest Dafne Keen w roli Laury. Ma coś takiego w oczach, że jesteśmy w stanie uwierzyć, że jest małą maszynką do zabijania. Cała trójka aktorów stanowi oś historii, wszystko inne jest jedynie tłem. I nie jest to wielki zarzut, czarne charaktery w filmie po prostu nie mogły dostać tyle czasu, co relacje głównych bohaterów. Co za tym idzie, są one w najlepszym razie przeciętne (a jeden z nich to największa wada filmu – jest zbyt komiksowo kiczowaty, przez co nie pasuje do klimatu całości).

„Logan” wybrzmiewa dzięki swoim postaciom. To naprawdę interesujący film. Fani podejną do niego bardziej emocjonalnie niż przypadkowi widzowie. Ale ci drudzy nie odejdą z niczym, lecz poznają bardzo westernową, wręcz brudną historię. I wyjątkowo dojrzałą, pozostającą w pamięci na długo.



13 powodów

Piotr Mazurek

Recenzja ekranizacji bestsellerowej książki pt. „13 powodów”.

W tym roku do serialowej biblioteki Netflixa dołączył serial pt. „13 powodów”, który jest ekranizacją powieści Jaya Ashera. Serial ten to thriller opowiadający historię nastolatki, która popełnia samobójstwo, a wcześniej nagrywa 13 taśm magnetofonowych, na których argumentuje odebranie sobie życia. Główny bohater, Clay Jansen, to uczeń 3 klasy liceum, który niespodziewanie dostaje taśmy z nagraniami, będące w filmie jednocześnie genialną formą narracji utrzymującej klimat opowieści. Taśma po taśmie odkrywa on przerażającą historię samobójstwa swojej przyjaciółki.

Osoby, które obejrzały nową produkcję Netflixa, dzielą się na dwa obozy. Ci, którzy go uwielbiają i uważają, że historia w nim zawarta jest opowiedziana w bardzo dobry sposób oraz ci, dla których ten serial nie odzwierciedla tego, co napisał Jay Asher. Podczas oglądania „13 powodów” byłem pod wielkim wrażeniem tej produkcji. Muzyka okazała się idealnie dobrana do serialu, a postacie grane przez aktorów były świetnie przedstawione w całej historii. Niestety po obejrzeniu całego pierwszego sezonu zmieniłem zdanie co do tej opowieści. Oczywiście reżyseria oraz muzyka stoją na wysokim poziomie, ale problemem okazał się scenariusz. Główny bohater został przedstawiony jako chłopak bez żadnych uczuć, który zdaje sobie sprawę z tego, jaki był obojętny względem przyjaciółki dopiero wtedy, gdy ona umarła.

Serial bardzo mi się podobał i kojarzył mi się bardzo z grą „Life is strange”, a przedstawiona problematyka dotyczy każdego z nas, więc uważam, że warto go obejrzeć, mimo iż ma swoje wady.

Warto również przesłuchać ścieżkę dźwiękową całego serialu, która jest fantastyczna.



Jak namalować emocje?

Michał Grabowski

Recenzja filmu „Sully” reż. Clint Eastwooda

Jak dosadnie przekazać widzowi napięcie, uczucia, myśli? Pojedynczego człowieka, jakim jest Chesley „Sully” Sullenberger i wszystkich pasażerów znajdujących się na pokładzie pilotowanego przez niego samolotu – osób, które byłyby w tamtej chwili, w roku 2009, opłakiwane przez swoje rodziny, gdyby nie reakcja Sully’ego na krytyczną sytuację techniczną samolotu.

Z pewnością niewielu z nas pamięta wydarzenia z „Cudu na rzece Hudson” w styczniu roku 2009. Ja nie byłem świadomy nawet istnienia tego zdarzenia, dopóki nie przeczytałem o filmie Clint Eastwooda. Bazujący na faktach, z iście znakomitą hollywoodzką obsadą aktorską, z licznymi nominacjami (między innymi do Oscara za montaż dźwięku), a także paroma wygranymi (Kryształowa Statuetka za grę Toma Hanksa), „Sully” jest filmem ciekawym widza od samego początku. Nie wszystko jest w nim przedstawione chronologicznie, wiele scen to po prostu retrospekcje, myśli, wyobrażenia wywoływane przez głównego bohatera, przez co film bynajmniej nie traci na jakości, a wręcz zyskuje, ukazując dobitnie, jak się czuł Sullenberger przed, podczas i po locie. Pewnym zabiegiem psychologicznym, jaki zastosowali scenarzyści, było osadzenie niektórych momentów z historii w nieznanym nam czasie – z początku nie wiemy, kiedy to naprawdę było (czy przed czy po zdarzeniu na rzece Hudson); wszystko odkrywa się po jakimś czasie. Cała historia układa się jednak chronologicznie podświadomie – niewymagane jest intensywne myślenie, aby każdy widz był w stanie zrozumieć film i nie wyjść z kina z niesmakiem. Dlatego też historia skierowana jest do wszelkiego rodzaju odbiorcy.

W filmie zostały przedstawione śledztwo prowadzone wobec Sullenbergera przez Narodową Radę Bezpieczeństwa Transportu (NTSB), a jego realia nie zostały odwzorowane zgodnie z prawdziwą historią, jaką opowiedział Sully w swojej autobiografii pt. „Highest Duty: My Search for What Really Matters”. Chesley Sullenberger miał co do tych nieścisłości pretensje do twórców kinowego „Sully’ego”. Podczas seansu warto mieć więc na uwadze fakt, że Clint Eastwood naciągnął tę historię, aby mieć lepszy materiał na swój film.

Nie zmienia to jednak mojego stosunku do filmu – przez umiejętność dojścia do świadomości i skupienia widza, film nie zanudza i inspiruje przez całe półtora godziny poświęconego mu czasu. Polecam przede wszystkim fanom Toma Hanksa, jeśli jeszcze „Sully’ego” nie widzieli!



Ghost in the Shell (2017)

Michał Ciborowski

Kontrowersyjna adaptacja mangi i anime. Czy narzekania fanów oryginału były słuszne?



„Ghost in the Shell” to jeden z najlepiej wyglądających filmów, widzianych przeze mnie w ostatnich latach. Cyberpunkowe miasto, projekt jego oraz postaci go zamieszkujących, to wszystko wygląda wprost fantastycznie. Wiele ujęć zostało jakby specjalnie złożonych, aby wywołać zachwyt na sali.

Nieprzypadkowo zacząłem od opowiedzenia o graficznych aspektach produkcji. Są one jej najmocniejszą stroną. Nie tylko zostały cudownie zaprojektowane, ale również nakręcone.

Inną kwestią jest fakt, że poza nimi za wiele w tym filmie nie ma. To trochę problem. Gdyby ktoś spytał, czym jest ten obraz, powiedziałbym, że zwykłym akcyjniakiem umieszczonym w interesującym otoczeniu. Cyberpunku w kinie jest zdecydowanie za mało, jednak szkoda, że ta jedna jaskółka nic do wiosny nie dodaje. Oprócz strony wizualnej oczywiście.

Sam scenariusz jest po prostu solidny. Jego problemem jest to, że podejmuje sporo typowych dla gatunku tematów (jak utarte do bólu „gdzie jest granica między maszyną a człowiekiem”), lecz nie potrafi ich twórczo rozwinąć. Znikające wątki to największe marnotrawstwo „Ghost in the Shell”. Czuć, że choć aktorzy starają się wycisnąć z tego materiału jakieś emocje, całość ostatecznie kończy się bezbarwnie. Trzeci akt filmu jest wręcz kulminacją nieszczęść. Niech przykładem będzie ostatnia scena akcji – główna bohaterka biega w kółko i walczy z bossem. Który mamy rok? Tak banalne go i bezrefleksyjnego zakończenia nie widziałem od czasu „Suicide Squad”. Ostatnia walka powinna być największym nośnikiem adrenaliny, natomiast tutaj wprost błędnie przy dużo ciekawszych sekwencjach z początku filmu.

Leniwy finał jest godny narzekań, ale mimo tego, ogół całkiem mi się podobał. Oczywiście lenistwo scenarzystów jest widoczne, jednak dopiero po pewnym czasie. Większa część filmu przyciąga jak magnes, zatapiając widzów w fascynującej wizji świata. Historię buduje wiele pomysłowych (choć głównie ze względów wizualnych) scen. Aktorzy sprawili się bardzo dobrze, nawet pomimo faktu, że większość z nich to nazwiska zupełnie nieznane masowemu odbiorcy. Nie tylko Scarlett Johansson niesie ten film.

Fani oryginałów już dawno postawili krzyżyk na tej adaptacji. Wydaje mi się, że trochę na wyrost. To dość średni film, niemający szans z innymi marcowymi premierami, ale wciąż jest to interesujące widowisko. Tylko tyle i aż tyle.